

17 września 1939 dzień jak codzienny, pełen napięcia i niepokoju, słuchamy komunikatów z frontu^{nie} nie wesołe, wtem wjeżdżają czigi sowieckie. Ukraińcy i Żydzi zapomnieli języka polskiego, zrobili się bardzo ważni. Dochodzą słuchy, że Ukraińcy mordują Polaków i że Ukraińcy i Żydzi rozbijają Wojsko Polskie. Żyjemy przygnębieni i wystraszeni. Rosjanie zarządzają plebiscyt, chcą nadać swym gwałtom charakter formalny.

Ukraińcy i Żydzi manifestowali swe zadowolenie. Oni to byli załącznikiem naszego nieszczęścia /czerwonej zarazy/. Nie wszyscy Polacy wystraszeni też wzięli w tym wymuszonym plebiscycie udział. Dużo też naszej polskiej młodzieży nie brało udziału. Ja z bratem Mieczysławem spodziewaliśmy się następców i dlatego nie mieszkaliśmy z rodzicami, postanowiliśmy się przedostać na Węgry.

Zamieszkaliśmy w mieście Nadwórna i tam w czasie próby przekroczenia granicy zostaliśmy aresztowani. Stamtąd przewiezieni do miasta Stanisławowa, a że więzienia były przepełnione, z plebanii zrobili więzienie, w którym to nas więzili.

10 lutego 1940r., jest mroźna, śnieżna zima, o godzinie 2-giej w nocy mieszkańców kolonii Leonówki koło Gwoźdźca woj. stanisławowskie obudziło brutalne walenie do drzwi^{okien}, z krzykiem "otkrywać". Ludzie obudzeni, przestraszeni otwierają, a do mieszkań nahałnie wtargnęło wojsko sowieckie. "Sobirajties", dał rozkaz komandir, 10 minut na ubranie się, nie pozwolili więcej wziąć, tylko tyle, co na sobie.

Była u nas obłożnie chora babcia staruszka lat 80, Katarzyna Bazan. Natomiast siostra Stanisława Orłowska w 9-tym miesiącu ciąży, żona polskiego żołnierza, który w tym czasie walczył na froncie przeciw hitlerowskiemu faszystowskiemu najeźdźcy.

Mimo prośby, że są chore i niezdolne do podróży, żołnierze byli bezwzględni, zabrali wszystkich.

Polacy wywiezieni na Sybir 10 lutego 1940r. Posiołek Szadrycha, Omska-ja obłast, polscy koloniści im. Leona Puzyny, ul. J. Piłsudskiego, Gwoździec, pow. Kołomyja, woj. stanisławowskie.

1. Grocholscy, syn Stanisław z żoną i dziećmi, Stanisław z żoną wrócił do domu do Polski,
2. Mach z żoną i dziećmi wyjechał z gen. Andersem, mieszka w Australii,
3. Wszołek z żoną i dziećmi, żona żyje, mieszka w Albertowie koło Ząbkowic,
4. Walenkiewicz z żoną i dziećmi,
5. Cebula z żoną i dziećmi,

Wrodzice

6. Stanisław Sieni~~ę~~tecki z żoną i 5 córkami,
7. Haduch z żoną i synami,
8. Jan Siemi~~ę~~tecki z żoną, córkami i synami
9. Józef Kuźniar z synami,
10. Babi~~ę~~rz z żoną, synem i córkami,
- ✓ 11. Józef Cieśła z żoną i córką,
12. Stanisław Cieśła z żoną i córką, z rodzicami,
13. Bolesław Cieśła z żoną i córkami,
- ✓ 14. Bularz z żoną, córką i synem,
15. Kubik z żoną i dziećmi,
16. Borgula z żoną i dziećmi,
17. Rodzina Gacałów - 4 osoby,
18. Szumlański z żoną i synem,
- ✓ 19. Harchała matka z synem Eugeniuszem, obecnie zmienił nazwisko, *jest generałem*
Dostojewski, jest generałem, mieszka w Warszawie,
- ✓ 20. Harchała z żoną i synami, stryj Dostojewskiego,
21. Alfred Orłowski, wrócił~~ę~~ do kraju, skończył studia humanistyczne,
kilka lat temu zmarł,
22. Baran z żoną i dziećmi,
- ✓ 23. Karol Cisak z żoną i dziećmi, syn Edmund obecnie jest księdzem,
24. Mieczysław Cisak z żoną i dziećmi,
25. Pelc z żoną i dziećmi,
26. Sajewicz z żoną i dziećmi,
27. Blank z żoną, wyjechali z gen. Andersem.

Smierć zebrała obfite żniwo ludzkie na skutek nerwowych przeżyć, z zimna i głodu, żadnych urządzeń sanitarnych, sprawy fizjologiczne załatwiano w przepełnionym do granic możliwości wagonie, zmiana klimatu, brak aklimatyzacji i td., ~~malaria~~, tyfus plamisty, czerwonka, inne. Choroby te pochłonęły dużo ofiar.

Tajgi syberyjskie, ~~stepy~~, a szczególnie tundry na północy są to polskie cmentarze ludzi męczenników bestialskich morderstw hordy stalinowskich NKWD-dzistów.

Poszukuję towarzyszy niedoli więzionych przez sowietów w plebanii
✓ w mieście Stanisławów na ul. Majskich 8.

Jan Ząbek z Żurawa, Franciszek Borkowski z ~~Uzina~~ ^{Koczi~~ę~~na}, Jan Gancarz z Polskiej-Woli, Wojciech Żurek z Buhaczowic, Halina ~~Koczi~~ę~~na~~ i jej syn Mieczysław, Antonina Głodowa, wszyscy z Tatarowa nad Prutem. M. Kamiński ze Sniatynia, S. Czaszka, Adam Pszeniczny z Uchrynowa Dolnego, Kazimierz Bień z Uborki koło Otynji, Mieczysław Wróblewski i jego brat z Bramska,

Tysięczny, Bracia Bronisław i Piotr wigorscy, Janina Marlicka, Michał Maślanka, Halina Braszkówna, Jasi¹ Zembki.

Są to dane z mojego pamiętnika, pisanego w więzieniu i na Sybirze, nie wszystko czytelne, jest też brak imion i innych nazwisk i skąd pochodzą, a pamięć~~am~~ mnie już niestety zawodzi.

Z plebani wywieźli nas do więzienia do Tarnopola, potem pociągami w towarowych zakratowanych wagonach pod strażą wojska wieźli nas tam w nieznane. Z wagonów wypuszczono nas w mieście Wołogda, tam po krótkim postoju wykopalismy się^w wrzece Szekswa, zawszeni byliśmy strasznie. Następnie barkami wieźli nas na północ, płynęliśmy kanałami, śluzami. W końcu kolejną wąskotorową wzięli nas dalej na północ i zawieźli nas w głębokie ciemne lasy do obozu, nie znaleźliśmy nazwy obozu ani dokładnych danych o jego położeniu.

Pytaliśmy strażników, powiedzieli że jest to tajemnica, jednak od więźniów, którzy dłużej siedzieli dowiedzieliśmy się, że stąd najbliżej jest do Murmańska.

Tam komendant obozu powiedział nam, że Polski więcej nie zobaczycie, bo jej nigdy nie będzie, tu musicie żyć i pracować.

Pracowaliśmy przy wyrębie lasu pod konwojem. Z obozu do Kamczatki było kilka kilometrów, pracowaliśmy po 10 godzin dziennie, a z dojeściem do pracy i z powrotem 13-14 godzin dziennie. 10-ty dzień miał być wolny od pracy, ale w ten dzień urządzali "udarniki", czyli pracę społeczną tak, że w końcu pracowaliśmy bez dni wolnych.

Przemoc, terror i gwałt, bandytyzm panował, wyróżniali się NKWD.

Jeszcze gorszą plagą byli żuliki, złodzieje, bndyci, recydywisci.

Na Hitlera i na Niemców nie wolno było nic złego powiedzieć, ubliżyć im. Za to karali karcerem, nazywali go sojusznikiem i druhem.

Odżywienie było głodowe, 400g. chleba podobnego do gliny, tylko kipi~~at~~-ku do woli. Puchliśmy z głodu, chorowaliśmy na kurzą ślepotę, szkorbut, malarię, tyfus plamisty i inne choroby, śmierć szalała.

Zmuszano nas do ciężkiej pracy, żądano wykonania normy, która była niewykonalna.

Warunki życia straszne, mrozy dochodziły do -60° , a do tego inspekty, robactwo nas męczyło, wszy pluskwy stale nam towarzyszyły, a wściecie na dodatek straszne komary i muszki.

Pewnego razu w naszym obozie zrobiło się poruszenie, doszły nas słuchy, że w sąsiednim obozie zostali pomordowani polacy-żołnierze. Było to późnym latem 1940r. W grudniu tego roku pod konwojem przewieziono mnie i brata pociągami, samochodami, saniami do Szadrychy, rejon Jarkowo, Omskaja obłast.

Podróż trwała kilka tygodni. Konwojenci przekazywali sobie nas jedni drugim.

Polacy, z którymi byłem w Sadrysze. Walawko z żoną i synem, syn poszedł do wojska w Rosji, został majorem, po powrocie zmarł w Warszawie.

Witold Lisowski z żoną, Hipolit Badyła z bratem i rodzicami, Huszcza, małżonkowie z córką i dwoma synami Aleksandrem razem przyjaźniliśmy się i Michałem, który poszedł do polskiego wojska, poległ na froncie.

Twierdzili, że generał Huszcza jest ich stryjem. Struzik z żoną i dwiema córkami, rodzina Puzarewskich, rodzina Rudkowskich, rodzina Głowaczów, rodzina Czajkowskich, rodzina Kurpinowiczów, ich syn został pułkownikiem wojska polskiego i mieszka w Krakowie, rodzina profesorów Sajów z córką, pochodzili z Wileńszczyzny, wspaniali ludzie, a szczególnie pani prof. Sajowa bardzo dzielna, wprost bohaterka, opiekowała się jak matka, pomagała jak tylko mogła, broniła u władz, znała język rosyjski. Godna tego, aby ją historia uznała bohaterką itd.

Mój stryj Stanisław Sieniutecki z rodziną, żoną i 5 córek wrócili do kraju i mieszkają na Dolnym Śląsku.

Moją rodzinę, ojciec Jan Sieniutecki, mama Zofia, babcia Katarzyna Bazan śp., obłożnie chorą zabrali z łóżka, zmarła na drugi dzień po przywiezieniu, pochowana w lasach w Bugrach, rejon Jurkowo, Omskaja obłast.

Moja siostra Genowefa z zawodu akuszerka, leczyła chorych z dużym poświęceniem, gdyż lekarza nie było a lekarstw też nie było, podstawowych trochę. W końcu sama zaraziła się tyfusem plamistym i z dużym trudem udało się ją tam uratować. Wróciła do kraju, wyszła za męża. Oto adres: Genowefa Wolska, Bielawa, woj. Wałbrzych, pow. Dzierżoniów, ul. Dzierżoniowska 14, kod 58-260.

Druga siostra Stanisława Orłowska, tuż po przywiezieniu urodziła córkę dn. 2.3.1940r., dostała na imię ^{zadania nasuwały mi się i pomyślałem, tak to nazwiemy} Franciszka po ojcu, który w tym czasie był jeńcem wojennym w Niemczech.

Dużo dzieci wówczas urodziło się, ale to jedno jedynie utrzymaliśmy przy życiu.

Dużą zasługą było naszej kochanej Matuli, a ~~matki~~ ^{babci} tego dziecka, która stale czuwała nad dzieciną, gałązkami machając broniła przed komarami i muszkami, broniła przed robactwem. Dziewczynka ta już jako niemowlę dobrze poznała smak chleba, którego tak samo jak my dorośli żadna była.

Po kilkunastu dniach doszliśmy do stacji kolejowej Tiumeń i po szalonych trudnościach po kilku dniach udało nam się wdrzeć do pociągu towarowego z nadzieją, że uda się nam wyjechać do upragnionego przez szalenie wymęczonych Polaków - do Iranu jako pierwszy etap podróży do Ojczyzny.

Jedziemy po bezkresnych terenach, nie widać żadnych osiedli, tylko lasy. Często też zatrzymujemy się i czekamy w lesie nie wiadomo dlaczego.

Jak się wkrótce dowiadujemy, że kolej transsyberyjska jest jednotorowa, stąd te postoje, gdyż jeden pociąg musi czekać na drugi, który jedzie w przeciwnym kierunku. Po kilku dniach dojeżdżamy do Nowosybirsku.

Koniec trasy, wysiadamy, trzeba rozprostować kości, gdyż w wagonach tłok był niemożliwy. Trzeba było poszukać czegoś do jedzenia.

Na stacji spotkaliśmy Polaków, zdenerwowanych nędzarzy, wystraszonych.

Ostrzegają nas - nie jedźcie tam, tam głód, malaria, tyfus, śmierć, my stamtąd wracamy, ludzie mieszkają pod gołym niebem, tam teraz jest pora deszczowa.

Tymczasem zamieszkaliśmy w poczekalni na stacji w Nowosybirsku.

Zebrałiśmy się na naradę, co dalej robić? Postanowiliśmy zrobić dokładne rozeznanie sytuacji, nie bardzo wierzyliśmy tym pogłoskom.

Podzieliłiśmy się na dwie grupy. Jedni nie bacząc na ostrzeżenia zdecydowali się jednak jechać z nadzieją wyjazdu do Iranu.

My należeliśmy do tej grupy, która ~~nie chciała~~ wolała nie ryzykować tym bardziej, że mieliśmy malutkie dziecko. Siostra Genia nie w pełni sił, po tyfusie. Rodzice też nie wytrzymaliby takich trudów, gdyż byli schorowani.

Na stacji w Nowosybirsku mieszkaliśmy kilka tygodni. Milicja ani NKWD nas nie niepokoiłi, tylko nas obserwowali, natomiast zmorą dla nas byli żuliki i złodzieje dorośli, ale najgorsi to małolaty.

Bezczelnie wyrywali z rąk ciężko zdobyty kawałek chleba, kradli wszystko co się dało, przy tym klnąc, szantażując, grożąc nożami. Milicja robiła wrażenie, że ich nie widzi, nie reagowała na ich przemoc, musieliśmy się sami bronić.

Tymczasem agenci sowieccy tzw. werbowski czyki namawiają nas na dobrowolną pracę. Jesteśmy bez wyjścia, tak dalej żyć nie można, głód, robactwo nam dokucza, nie mamy bielizny na zmianę, ani gdzie się dobrze umyć, a żuliki i złodzieje coraz bardziej się rozzuchwalili.

Agenci w dalszym ciągu niby opiekunczo, współczują i radzą nam skorzystać z ich propozycji, mieliśmy dostać pracę godnie wynagradzaną, obfitą stołówką, mieszkanie zapewnione i opiekę lekarską.

Zdecydowaliśmy, pojechało nas wówczas kilkanaście rodzin.

Zawieźli nas do Ałtajskiego Kraju i o zgrozo - znowu do lasu.

Las, do którego wszyscy-mieszczuchy i nie tylko chętnie na majówkę jeżdżą, by odpocząć, tu kojarzy się z ciężką, wręcz katorżną pracą, głodem, gdyż drzewa nie ugryziesz i plaga muszki, komarów i pluskiew. I znowu znane nam baraki tzw. obszczeżyte, nary, kipiatołk, na poczęstunek rosolnik; jest to niby zupa ogórkowa, łyżkę wazową lury, parę kawałków kiszzonego ogórka i jeden kawałek ziemniaka, bez żadnego tłuszczu i przypraw.

Krótką naradą i znowu rozbijamy się na grupy, jedni zrezygnowani, że wszędzie jest tak samo, postanowili pozostać, tymczasem szukając zbawienia Boskiego.

Drugą naszą grupą ruszyliśmy w nieznane, każdy na swoją rękę zaczął szukać szczęścia, a do szczęścia nam tak mało było potrzeba - samodzielny kąt a nie tylko obszczeżyte, coś do jedzenia, żeby tylko z głodu nie umrzeć i praca proporcjonalna do naszych kwalifikacji i fizycznych możliwości.

Zatrudniliśmy się w kołchozie, nazwy nie pamiętam, koło osiedla owczynnikowo

Uważaliśmy, że chyba tam z głodu nie umrzemy. Jakżesmy się zawiedli, mieszkania żadnego dla nas nie mieli a i dokwaterować całej rodziny nie mieli do kogo, gdyż mieszkanie kołchoźnika, to jedna izba, a w niej stół, ławki do siadania i duży piec, w którym pieczono się chleb, gotuje potrawy i na nim się śpi całą rodziną.

Mieszkanie mieliśmy obiecane, mieli opróżnić jakąś komórkę a tymczasem pojedynczo rozbili nas i dokwaterowali do rodzin. Praca nie na nasze wycieńczone siły, odżywienie też poniżej krytyki.

Postanowiliśmy szukać dalej. Ostatecznie w sowchozie "Prolitari" w osiedlu Gagdiejewo, przyjęli nas do pracy. Odrazu dostaliśmy mieszkanie, 1 pomieszczenie. ale dosyć duże - ok. 16m². Do stacji kolejowej bardzo blisko. Postanowiliśmy tu pozostać, gdyż uważaliśmy, że nic lepszego nie mamy szans znaleźć.

Spotkaliśmy tu też znajomów rodziny z Szadrychy. ~~Pracowaliśmy w sowchozie~~
Pracowaliśmy w sowchozie w polu, ja wraz z Aleksandrem Huszczą pracowaliśmy w transporcie jako furmani. Jeździliśmy bykami, woziliśmy drzewo, zboże i inne materiały.

Siostra St. Orłowska pracowała w pimokatni, nauczyła się tam tego bardzo ciężkiego fizycznie zawodu, ale w pomieszczeniu, nie na mrozie. Druga siostra Genowefa pracowała w dziale gospodarczym.

Rodzice uznani zostali za niezdolnych do pracy.

My otrzymywaliśmy po 400g. chleba, a rodzice i dziecko po 200g.

Chleb był skrupulatnie komisyjnie ważony, brakujące kawałki chleba były spinane kawałkiem drzewa i razem ważone.

Ja dodatkowo pracowałem w placówce poselstwa polskiego, do którego należeliśmy w Troicku. Kierowniczką była pani Jadwiga Koronowicz, wróciła z matką do kraju, mieszkały w mieście Łodzi.

Jeździłem do poselstwa polskiego w Barnaule po dary angielskie i amerykańskie.

Rok 1943 - w marcu wezwany zostałem do NKWD, zabrali ~~nam~~ zaświadczenie obywatelstwa polskiego, które otrzymaliśmy w 1942r.

Wzamian zaproponowali mi przyjęcie sowieckiego obywatelstwa, odmówiłem, namawiali, obiecywali wspaniałą przyszłość, w końcu grozili i wreszcie aresztowali i swoim NKWD sposobem, a oni to umieli robić, by swój cel osiągnąć. W nocy m.inn. brali na przesłuchanie, świecili w oczy, śledczy zmieniali się i każdy do znudzenia zadawał te same pytania.

Aresztowali też polską nauczycielkę, ^{Tosię} Tosię Maciejewską oraz jej siostrę Lidę Kaczorowską, gdyż podobnie jak ja nie przyjęły sowieckiego obywatelstwa.

Dnia 10.3.1943r. sądzono nas na rynku Troicka sądem ~~polowym~~ pokazowym. Zwieźli Polaków, żeby ich zastraszyć. W czasie procesu powiedziałem, że jestem niewinny, że Ojczyzna to nie jest koszula lub rękawiczki, które się zmienia. Jestem Polakiem i kategorycznie odmawiam przyjęcia sowieckiego obywatelstwa. Całą naszą trójką otrzymaliśmy wyrok za "kategoriczeskij otkaz ot sowietskowo graždanstwa" - po 2 lata pobawienia wolności. Po wyroku zamknęli nas w więzieniu.

W czasie procesu nie mieliśmy obrońcy.

Do celi, w której siedziałem przychodził adwokat z urzędu i namawiał, ażebym przyjął ich obywatelstwo, że wszyscy Polacy przyjęli, że moja rodzina też przyjęła, że moi rodzice są chorzy, że jestem im potrzebny, że jeśli przyjmę - puszczą mnie na wolność.

Kategorycznie odmówiłem, bardzo grzecznie tłumaczył mi, że wybieram dobrowolnie bardzo ciężkie więzienie zamiast wolności.

Wzamian na jego ręce złożyłem podanie do polskiego wojska pod polskim dowództwem na ochotnika na front przeciwko najeźdźcy hitlerowskiemu, ale to podanie pozostało bez odpowiedzi.

Skończyły się przesłuchania, adwokat też przestał do mnie przychodzić.
V Z więzienia w Troicku przewieźli mnie do więzienia do miasta Bijska,
V potem do łagru. W łagrze tym było bardzo dużo Polaków i Żydów z Polski, na uwagę zasługuje jedna rodzina żydowska - 3-osobowe małżeństwo i syn, którzy też nie przyjęli sowieckiego obywatelstwa. Z uporem twierdzili, że są Polakami wyznania mojżeszowego, wszyscy poumierali. Niestety nie pamiętam ich nazwiska, ani tych co pozostali jeszcze przy życiu. W bijskim łagrze byliśmy 2 miesiące, pracowaliśmy w transporcie, w cukrowni, rzeźni i na kolei. Będąc w bijskim łagrze miałem odwiedziny. Przyszła moja siostra Genia, płacząc mówi "ojciec umarł", prosi ażebym przyjął sowieckie obywatelstwo, że NKWD obiecało mi wolność, wręczyła mi paczkę, którą bojec dokładnie sprawdził jej zawartość. Tymczasem siostra niezauważenie wsunęła mi do kieszeni list a w nim aktualne niedobre wiadomości. Żołnierz odebrał mi list, a że nie mógł przeczytać, bo był pisany po polsku, dał do przetłumaczenia więzionej Polce. Ta dzielna dziewczyna zmyślając uratowała sytuację. Ojciec św. pamięci pochowany w lesie koło Gardiejewa, Ałtajski kraj, troicki rejon. Dnia 15 maja w dzień imienin mojej kochanej matuli stąd pamiętam i nigdy tej daty nie zapomnę. Po dokładnej rewizji osobistej uformowali czwórkami kolumnę i pod silną strażą z psami włącznie popędzili nas na stację kolejową. Tam załadowali ~~xxxxxxx~~ nas do zakratowanych wagonów towarowych i zawieźli nas do rozdzielczego obozu w miejscowości o nazwie Tajga. Naczalstwo tego obozu zajmuje się segregacją więźniów i rozprawdza tam, gdzie mają zapotrzebowanie i tam gdzie im się podoba.

Ażeby to wyglądało sprawiedliwie, zasiada szanowna komisja lekarska, same kobiety. Więźniowie czwórkami podchodzili do nich, rozbierali się do naga. Panie lekarki dumne ze swej pozycji wizualnie na odległość siedząc, określały przydatność danego więźnia i kierowały do danego łagru.

Z tego obozu przesyłkowego przeważnie kierowano na północ. Tylko nieliczni pozostawali na tzw. matińku. Mnie skierowały na północ.

I zaczęła się gehenna. I znowu czwórkami ustawiają nas w kolumnę długą na conajmniej 1 km., żołnierze z karabinami gotowymi do strzału ~~xxxxxxx~~ z bagnetem i sforą psów na smyczy pędzą nas jak bydło na rzeź, drąc się przy tym groźnie, straszny to widok. I znowu zakratowane wagony, wysiadamy w Krasnojarsku i znowu ten sam widok. Czwórki, kolumna, żołnierze i psy. Prowadzą nas do portu rzecznej Jenisieju, tu załadowali nas na okręt, umieścili w lukach przy maszynowni. Było nas w tych lukach tak dużo, że leżeliśmy jeden koło drugiego, trudno było przejść do tzw.

"paraszy", która stała w kącie luki w celu załatwiania się. Smród był niesamowity, w lukach tych przewozili prawdopodobnie ryby. Parasza i takie zagaśczenie więźniów. Leżeliśmy rozebrani do naga, wyliszy z duchoty i braku powietrza. NKWDziści wrzeszczeli na nas i pistoletami grozili nam, zaś za pożywienie dali nam po kawałku suszonej ryby solonej zwanej garbuszą. Jest to ryba najgorszego gatunku twarda jak deska. Na domiar złego wody-kipiatku na porcję, po małym kubku. Konaliśmy ze smrodu, gorąca i pragnienia. Pewien więzień sowiecki umarł, to na naszych naczelnikach nie robiło żadnego wrażenia, na umarłego popatrzyli z pogardą i powiedzeli "podoch kak sobaka". Zabrać i spisać-dał rozkaz naczelnik, najwyższy pan życia i śmierci więźnia.

W czasie tej przymusowej podróży zwanej nawigacją, były częste konieczne postoje w celu uzupełnienia opału/drzewa/ dla statku, gdyż miał napęd parowy. Na brzegach rzeki Jenisiej, bo tą rzeką wieźli nas, stoją przygotowane przez więźniów stogi drzewa. Drzewo musieli nosić więźniowie. Pracę tę robiliśmy z zadowoleniem, potrzebny nam był ruch i powietrze. Z czasem robiło się coraz chłodniej, aż w końcu zrobiło się zimno.

Pewnego razu wśród załogi statku zapanował nerwowy nastrój, ostrzegli nas, że będziemy przejeżdżać przez tzw. progi, że może statkiem silnie kołysać. Rzeczywiście, solidnie nami kołysało, ale obeszło się na strachu. Po kilku dniach przybiliśmy do brzegu. Padł rozkaz "wychodit". Wychodzimy a tu zima i śnieg a był to miesiąc czerwiec. Jak się okazało, był to port Dudinka. I znowu powtarza się i kolumna 3 tysięcy więźniów pod konwojem bojców z karabinami i bagnietami gotowych do strzału i komenda "w pieriod". I znowu, podobnie jak na poprzednich etapach, komisja lekarska i segregacja - ten ten na prawo, ten na lewo. Trzymają nas bez względu na pogodę dopóki szanowna komisja nie skończy tej ohydnej ponurej komedii. I znowu - jedni zostaną w Dudince, drudzy pojedą dalej w nieznane. Więzień to nie człowiek, za niego decydują jego oprawcy.

Ja tym razem zostałem w Dudince. Pracowaliśmy w porcie, rozładowywaliśmy barki z różnymi towarami, gdyż na północ przywozili też m.inn. materiały budowlane, maszyny różne itp.

Cieszyliśmy się, gdy trafiło nam się rozładowywać żywność. Cośmy znaleźli, to było nasze. Na przykład rozładujemy kaszę manną, do więźnia niosącego worek na plecach, drugi więzień przechodząc koło niego nieostroźnie dziurawi worek, kasza się sypie, rżemy się na nią, zbieramy do różnych już przygotowanych naczyń.

Kaszę tę zalewamy kipiátkiem, zawijamy w kufajkę i taką rozparzoną papkę bez soli i przypraw zjadaliśmy. Zatapialiśmy też całe worki w Jenisieju, przywiązane do barki, a potem przy nadarżającej się okazji wyciągaliśmy. Tylko z cukru nie mieliśmy pożytku, wyciągaliśmy puste worki, rozpuścił się w wodzie. Nawet mąka nadawała się do użytku. Naokoło wewnątrz worka robiła się skorupa a wewnątrz była sucha mąka i piekliśmy z niej placki w barkach.

Nietypowy to był obóz. Wraz z portem tworzył jedną całość. Pewnej nocy, chociaż tam trudno zorientować się kiedy jest dzień, a kiedy noc, a dzień od nocy niewiele się różni, pewien więzień powiadomił mnie, że szuka mnie jakaś dziewczyna.

Zaskoczony byłem, to był dla mnie szok, czyżby moja siostra Genia aż tu za mną dotarła, przecież to niemożliwe, chociaż dotychczas zawsze mnie odnajdywała z etapu na etap.

Poszedłem czym prędzej do portu i na barce spotkałem strasznie wychudzoną młodą dziewczynę. Znała mnie z widzenia z obozu w Bijsku.

Twierdziła, że ze względu na stan zdrowia wraca z powrotem do centrali tzw. matierik. Zaproponowała mi, ażeby z nią uciec, że mnie ukryje na tej barce. Nie skorzystałem, gdyż ucieczkę uważałem za nie, realną, nie mającą szans. Znałem przecież obozowe zwyczaje i położenie w jakim się znajdowałem, nie chciałem też narażać tej biednej dziewczyny. Za pomoc w umożliwieniu ucieczki mogłem się nie tylko ja ale i ona narazić na większy wyrok. Z północy ucieczka jest niemożliwa, warunki klimatyczne i odległość, a NKWD czuwa, bardzo podejrzewa. Zaczęli by też szukać, codziennie nas liczyli. Pouróż barką trwa tygodniami. Robi jeden kurs tam i z powrotem w ciągu jednej nawigacji, a kontroli bez liku. Prosiłem ażeby zawiadomiła moją rodzinę, gdzie jestem podając jej adres. I ta wspaniała szlachetna dziewczyna napisała list do mojej rodziny i powiadomiła gdzie jestem, do dnia dzisiejszego dręczy mnie ciekawość, chciałbym bliżej ją poznać, czy żyje, gdzie mieszka, nazywa się Topolewska. ^{/prawdopodobnie/} Ja ją widziałem na barce krótko, najwyżej 10 minut, nie pamiętam jak wygląda i napewno nie poznałbym. Ale najprawdopodobniej przed aresztowaniem mieszkała w Altajskim Kraju i wśród tych ludzi należy jej szukać.

A że to jest prawda, został oryginalny list pisany przez tę dziewczynę do mojej siostry.

Życie płynie dalej w napięciu i walce o kawałek chleba, walce z insektami, strasznymi pluskwami, komarami i muszką. W międzyczasie co parę dni przychodzą nowe transporty więźniów z różnych stron świata, straszny to widok, nędzarze popuchnięci w kachmanach, do ludzi niepodobnych. Zbliżyła się zima i koniec nawigacji, krążą wśród nas pogłoski, że przygotowują nas do etapu, nie wiemy dokąd, ale przypuszczamy, że będzie jeszcze gorzej i chcielibyśmy tu pozostać.

V Ja miałem trochę lepszych rzeczy - które otrzymałem z darów amerykańskich, wprawdzie przez ofiarodawców zarażonych, ale w tym kraju kachmaniarzy i Nędzarzy uznane były za luksusowe, nawet przez NKWD naczelników.

V Rzeczy te przyniosła mi ~~moja~~ moja siostra do obozu w Bijsku. Wezwał mnie politruk i mówi do mnie przyjaźnie: ty masz ładne rzeczy, tobie to żuliki lub złodzieje ^{uszkodzą}, radzę dać je do przechowania, jak wyjdiesz na wolność, to ci się przyda, otrzymasz zaświadczenie, że ci się należy.

Rzeczywiście miałem kłopot z upilnowaniem, gdyż żuliki byli bezwzględni. Wszędzie nosiłem te rzeczy z sobą lub powierzałem zaprzyjaźnionemu drwalowi. Posłuchałem go i oddałem.

Dostałem pokwitowanie, uspokoiłem się i lżej mi się zrobiło, mam z głowy, obrzydło mi to stałe utykanie się z tymi rzeczami.

Za parę dni etap i znowu jak zwykle czwórkami, komisja żeńska.

Upomniałem się o rzeczy, pokwitowanie jest - pytam komandir, jest - odpowiadam, zabiera zaświadczenie i powiada, że rzeczy pojedą z nami, i że tam gdzie mnie zawiozą będę mógł odebrać. Żądałem zaświadczenia, na próżno - popędzili na stację kolejową, wąskotorową wewnętrzną, gdyż na północ pociągi nie chodzą. Zawieźli nas do Norylska, miasta więźniów na północy, w którym są same łagry. Porozdzielali nas po różnych łagrach, mnie skierowali do karnego łagru zwanego "Rudnik odkrytych ~~z~~ zrobot".

Jest to pierwsza w świecie na północy odkrywkowa kopalnia rudy żelaznej. Według ^{ogólnej} opinii, kopalnia ta stoi na kościach ludzkich.

I jest w tym napewno dużo prawdy, w ciągu jednego sezonu nawigacyjnego przywożą kilkanaście tysięcy więźniów, a na wolność od czasu do czasu pojedyncze osoby.

Natomiast do wywożenia zmarłych jest kilkoosobowa brygada, którzy są stale zatrudnieni, wynoszą zmarłych nocą i tak w ukryciu, żeby więźniowie nie widzieli. Ale my więźniowie o wszystkim różnymi kanałami

jesteśmy informowani. Po przywiezieniu dali nam tzw. chwoję, jest to wywar z gałązek sosnowych, zaprawiony drożdżami chlebowymi, jest zabieg profilaktyczny przeciwko strasznej i groźnej chorobie północy skorbutowi.

Instruuja nas, jak bronić się przed odmrożeniem, między innymi nie wolno odmrożonego miejsca nacierać, gdyż odpadnie /np. ucho, nos itp/, lecz poprzez gimnastykę spowoduje się dopływ krwi i tym samym zapobiegnie odmrożeniu. Uprzedzili nas też, że stąd ucieczka jest niemożliwa, wkoło Norylska tundra i bagna, i że już były próby ucieczki, znaleźli po tym tylko szkielety uciekinierów.

Przydzielono nas do baraków, uprzywilejowanych inżynierów, urzędników, lekarzy, milicję więzienną, wojskowych - oficerów, a byli generałowie, którzy popadli w niełaskę - przydzielono do baraków lordów.

Barak lordów jest w najlepszym stanie, wyposażony w łóżka, szafki przy łóżku dla każdego więźnia, stół, ławki. Odżywienie też mieli lepsze, dla lordów była osobna kuchnia. "Dniewalny" na poziomie jest to człowiek niby dozorca, powinien sprzątać w baraku, przynieść kąpiatku, nanieść opału, palić w piecu i td. Mogli też otrzymywać książki z biblioteki.

Dostawali też bieliznę, odzież i obuwie.

Dla pospolitych więźniów baraki były obskórne, wewnątrz nary, piętrowe, duże zagęszczenie, a czystość też poniżej krytyki. Odzież i obuwie stare, znoszone, połatanne.

Praca w warunkach północy okropna w kamieniołomach, ładowanie i rozładowywanie wagonów, stale walka ze śniegiem, ażeby pociąg mógł jechać. Stoi człowiek koło człowieka z miotłami i zmiatają z szyn śnieg.

Dosłownie spod kół pociągu trzeba zdążyć usunąć śnieg, w przeciwnym wypadku pociąg stanie, co jest niedopuszczalne i karalne. Poniżej -62° mrozu, w czasie szalonej burzy tzw. purgi przy bardzo silnym wietrze i dużej masie mokrego śniegu. Pogoda taka jest prawie stale, bardzo rzadko się zdarza pogoda bezwietrzna. A słońce tam przecież nigdy nie świeci, na wiosnę trochę się pokaże, najpierw niebo przez jakiś czas jest czerwone, jakby gdzieś daleko był duży pożar, potem wolniutko leniwie trochę się powiększa, wschodzi tak dni kilkanaście, beczelnie w oczy kłuje, obowiązkowo wszyscy muszą nosić ochronne okulary, w przeciwnym razie grozi ślepotą.

Miejscowi tubylcy, tunguzi i Niemcy nie noszą okularów, ale oni mają wzrok przystosowany do tych warunków, bardzo skosne oczy.

W lagrze tym było sporo Polaków, ale obywatele sowieckich, ofiary nagonki z 1937r., gdzie tzw. żrójka ferowała zaocznie wyroki po 25 lat. Często za samo pochodzenie, nazwisko, za list z zagranicy lub za kawał.

Zaprzyjaźniłem się z jednym z więźniów, byłem oficerem wojskowym. Nazywał się Grisza Kliwiec, na pytanie co znaczy SSSR on przetłumaczył: śmierć Stalina spasiot Rasiju, kapus-doniósł NKWD i otrzymał wyrok 25 lat więzienia.

Była grupa Polaków obywateli sowieckich, pracowali w jednej brygadzie, musieli być jakimiś fachowcami, w baraku w jednym kącie trzymali się i spali razem, dobrze mówili po polsku, nie zadawali się z nikim. Chciałem do nich dołączyć i poznać się, porozmawiać, nie zaakceptowali mnie ani innych Polaków. Pozdrawialiśmy się przechodząc koło siebie ^{po} polsku. Nie wiem jak się nazywali więźniowie, opowiadali o nich, że są najstarszymi więźniami tego łagru, i że mają bardzo duże wyroki. Nazywali ich katorżnikami. ale oni na to nie wyglądali.

Byli to jeszcze młodzi po trzydziści kilka lat i jak na już wieloletnich więźniów w dobrej kondycji, przy tym cisi, spokojni i zawsze poważni, wręcz niedostępni, tylko szeptem rozmawiali.

I tak w jednym baraku przeżyliśmy koło siebie prawie dwa lata i nie poznaliśmy się bliżej.

Poznałem natomiast dużo Polaków obywateli sowieckich i nazwiska ich pamiętam, opowiadali o swoim życiu złamanym, bez widoków na przyszłość.

✓ Ale kilku z nich należy wspomnieć, doczesnego człowieka, zmusić warunki życia.

Niejaki Krzyżanowski w obozie był kierownikiem świetlicy. Za pochodzenie polskie dostał 10 lat więzienia. Jakżeż on Polaków nienawidził, nie wiem ✓ czy umiał mówić po polsku czy nie. Na mnie mówił z przekąsem - Polaczek. To polskij przedstawiciel. Zaznaczam, że z nim żadnych zatargów ani złego słowa, nie miałem z nim nic wspólnego, ale jak przechodziliśmy koło siebie, on z wściekłością popisywał się nienawiścią do Polaków. Była to chyba reakcja za niesprawiedliwy wyrok, albo demonstracja wobec naczałstwa więziennego o swojej postawie do Polaków w obawie o utratę intratnego stanowiska, jakie miał w obozie.

Bo często się zdarzało, jeśli się naczelnikowi jakaś twarz nie podobała, zdejmują z danego stanowiska i kierują do prac w kamieniołomach. A to często oznacza wegetację, kalectwo, lub po prostu koniec.

✓ Często się zdarzało, że więźniowie nie mogąc znieść tych strasznych warunków pracy sami się okaleczali. Niejaki Sasza Smirnow, byliśmy zaprzyjaźnieni, razem byliśmy w Bijsku, obciął sobie siekierą 4 palce w lewej ręce, dostał dodatkowo za samookaleczenie 10 lat więzienia.

Ale on nie przejmował się tym wyrokiem, zadowolony był, że został dniewalnym, gdyż to też była lepsza praca, fizycznie lżejsza, ale najważniejsze, że w ~~szkole~~^{ciężko}. Komendantem milicji więziennej był młody mężczyzna, szczupły, wysoki o bardzo zezowatym wzroku. Zawsze chodził z obstawą dwóch milicjantów, robili przy tym dużo szumu, wręcz darli się jak dzikie bestie. Wyróżniał się w tym komendant. Byli oni postrachem dla więźniów. Szczególnie odrażająco wyglądał komendant w tym przydługim korbzuchu, wchchatej czapce uszatce i tymi poprzewracanymi oczyma. Opinie wśród więźniów mieli paskudną. Szczególnie karceru wszyscy się bali, gdyż według opinii więźniów jeśli nawet wytrzyma nałożoną mu karę to i tak długo nie pożyje. Niestety i mnie się przydarzyło - za głupie szachy. Zagrałem z ruskim, on zaproponował żartem - zobaczymy kto wygra wojnę, ja będę rosją a ty niemcem. Wygrałem, kapuś doniósł naczelnikowi, wezwał mnie i groził, że mnie odda pod sąd za agitację, że ja powiedziałem, że sowieci wojnę przegrają. Nakrzyczał na mnie i zawyrokował 10 dni karceru. Pomyślałem, że to już koniec, podnosi słuchawkę i za chwilę przychodzi komendant. Struchlałem, płakać mi się chciało, naczelnik pokazuje palcem na mnie i mówi: agitator, 10 dni karceru. Komendant zabrał mnie i polecił swoim pomocnikom zaprowadzić mnie do celi w karcerze. Cella ta była w podziemiu, okno zakratowane, ale dlaczego, zastanawiałem się, wszak karcer znajdował ~~się w podziemiu~~ się na terenie łagru, a łagier przecież jest ogrodzony i dobrze strzeżony. Po chwili słyszę szcęk zamka i w ~~w~~ drzwiach zobaczyłem zezowatego, tak go przezywali więźniowie. Odezwał się do mnie czysto po polsku, wziął mnie do swego kantorku, on w nim mieszkał. Opowiedział o swoim życiu, pochodził z Warszawy, urodził się na Pradze. Dużo mówił o tej dzielnicy i o bazarze Różyckiego, że tu się wychował. Razem wspominaliśmy naszą Ojczyznę, śpiewaliśmy polskie piosenki. Opowiedział też, jak to się stało, że się tu znalazł. Był u krewnych na Wileńszczyźnie i wraz z paroma kolegami, małolatami przeszli nielegalnie granicę sowiecką, i że dotarli^{ali} do Moskwy, a że nie mieli z czego żyć, zaczęli kraść na bazarze. Zostali aresztowani i od tego czasu przeważnie stale przebywa w więzieniu lub łagrach, jest recydywistą. Z takich ludzi - złodziei i recydywistów biorą do milicji więziennej. O wolności nawet nie marzy, nie ma wykształcenia ani zawodu.

Tu ma zapewniony byt, ma mieszkanie, utrzymanie, mimo, że jest też więźniem. Ma przepustkę, kiedy chce może wychodzić do miasta. Ma żonę i dziecko, która po odbyciu wyroku mieszka w mieście Norylsku w barakach robotniczych. Są to baraki poza obozami, w których mieszkają byli więźniowie.

Ja jednak nie widziałem, ażeby on osobiście znęcał się nad więźniami. On swoim widokiem i dzikim krzykiem i obelgami szerzył grozę wśród więźniów, nazywał się Wyszyński.

Z Polaków obywateli polskich w naszym obozie było bardzo mało, a z tego kodeksu 16192 nie było nikogo. Był jeden lekarz starszy pan lat ok. 60 narodowości żydowskiej, nazwiska jego nie pamiętam, leczyłem się u niego. Był też młody chłopak z miasta, miał lat ok. 20, narodowości żydowskiej o polskim nazwisku. Nazywał się Jeźnarski, był u nas dniem, prawdopodobnie też lekarz uznając go chorym pomógł mu w zdobyciu intratnej pracy dniewalnego.

Był też młody Polak lat ok. 30, był felczerem, nazywał się Tatar. Twierdził, że jest synem generała Tatara. Wszyscy mieli wyroki po 10 lat pozbawienia wolności.

W obozie tym siedział ze mną pewien inżynier z Wilna. Nazywał się Siemion Łajkiewicz, syn Siemiona. On jako małolat przedostał się nielegalnie do Rosji, , ale miał więcej szczęścia od innych. Adaptował go Polak nazwisko Korbut żonaty z Rosjanką, wykształcili go. Przybrany jego ojciec został aresztowany i ślad po nim zaginął, a on za otrzymane listy z Polski został oskarżony o szpiegostwo - wyrok 10 lat obozu. W roku 1942 zwolniony z obozu, jednak bez prawa powrotu do centrali. Skazanie^o po odbyciu wyroku musi na stałe tam zamieszkać, może sprowadzić rodzinę i wyjechać na urlop do centrali. W ten to sposób zasiedla się niby dobrowolnie północ.

Po odbyciu wyroku zamieszkałem u niego jako sublokator.

Pan ten dużo mi pomógł w wydostaniu się stamtąd. Jak rozstawaliśmy się prosił - Edward tylko nie pisz do mnie listu, wiesz nie chcę mieć więcej takich nieprzyjemności i przygód.

Był też w naszym obozie Francuz profesor o nazwisku Żak Drzok.

Opowiadał mi swoją przygodę, po której dostał się do obozu.

We Francji był aktywnym komunistą, aresztowali go, w końcu na podstawie wymiany między Sowietami i Francją więźni politycznych znalazł się w Moskwie, tu go przyjęli z wielkimi honorami, a że władał 6-ma językami, pracował wykładowcą w uczelniach wyższych.

W końcu aresztowano go i oskarżono o szpiegostwo, wyrok 10 lat.

Przyjaźnilismy się bardzo, rozmawialiśmy po polsku. A oto jego słowa - jeśli kiedyś wyjdę na wolność i zobaczę człowieka na odległość wzroku, będę krzyczał - strzeż się tej zarazy, komuny, powinni się tu znaleźć wszyscy komunisty, wyleczyliby się tak jak ja się wyleczyłem.

Pan Żak był młodym trzydziestokilkuletnim, w obozie pracował w biurze, mieszkał w baraku lordów, o ile nie dotknęło go jakieś nieszczęście miał szansę przeżyć, był w dobrej kondycji, tak w fizycznej, jak i psychicznej.

W obozie 24 okrągłe godziny na dobę ryczały głośniki, nazywane kołchożnikami.

V Rok 1944 słyszę hymn polski, jeszcze Polska nie zginęła. Współwięźniowie różnej narodowości, a byli więźniowie oprócz republik ~~rosyjskich~~^{sowieckich}, więźniowie z krajów zachodnich, gratulowali mi, że wkrótce wyjdę na wolność, ale niestety, wiedziałem w dalszym ciągu, było to bardzo bolesne przeżycie, lepiej żebym wcale nie słyszał tego hymnu, nie cierpiałbym tyle.

Północ to ponura część świata, tym bardziej dla więźnia, długa kilku 6-miesięczna noc, lub 3-miesięczny dzień, brak aklimatyzacji, mrozy często -62° przy nieodpowiedniej odzieży i głodzie. Przy olbrzymich mokrych burzach śnieżnych w szalejących wiatrach, zwanych purgą. Człowiek tęskni nie tylko za Ojczyzną, za rodziną, wolnością, ale nawet za naturą. Tu prawie nie ma ptaków, ani znanych nam europejszym zwierząt, wogóle zwierząt tu jest bardzo mało. Czasami można spotkać białego zająca, lub białego lisa, zwanego , lub nawet białego niedźwiedzia, parokrotnie zbliżał się do naszego obozu. Psów natomiast jest sporo. To niezawodna po bezkresnych przestrzeniach w zimie przy braku dróg siła pociągowa, Najcieplejsze i najmocniejsze ma też futro, na czapki, rękawice, obuwie i śpiwory.

V W okolicy Norylska są sówchozy, które mają фермы psów pociagowych i reniferów, z których mają mięso, mleko i skóry oraz siłę pociagową.

Człowiek tęskni też za zieloną trawą i drzewami; przez lata patrzeć tylko na kamienie to straszne, tego się nie da opisać.

Życie ponure, beznadziejne, monotonne, tylko czasem przy bezwietrznej pogodzie, co się bardzo rzadko zdarza, pokaże się wspaniała różnokolorowa zorza polarna. Jakby tysiące kolorowych sztucznych ogni, niby gwiazda betlejemska mówiąca - wytrwaj, już niedługo. Tylko nadzieja, że już bliżej końca tego koszmaru trzyma przy życiu człowieka.

V W październiku 1945r. wróciłem z Norylska do Gardiejewa, na stacji kolejowej czekała na mnie kochana moja matka, która bez mała 3 lata codziennie bez względu na pogodę po mnie wychodziła.

V W sowchozie byli następujący polacy: małżeństwo Howarscy z córką, która mieszka w Dzierżoniowie, woj. Wałbrzych, Witold Hryniewicz z matką i siostrą. W sowchozie Proletari pracował jako agronom, nie wyjechał razem z nami, V nie wiem, czy wrócili do kraju, czy pozostali z własnej woli.

W to wątpię, czy ich nie puścili, gdyż niektórych zatrzymywali.

Były tu też niektóre rodziny, z którymi byliśmy w posiołku na Szadrysze, a następnie razem przeszliśmy gehennę przez Nowosybirsk, Tiumeń itd.

Wspomniane już rodziny Huszczów, Radkiewiczów, Puzarskich, i inni, ale nazwisk już nie pamiętam.

W Troicku władze sowieckie otworzyły nową placówkę pod nazwą Związek Patriotów Polskich. Kierownikiem jej został narzucony przez sowietów niejaki Żurek, imienia nie pamiętam. Miał żonę i dorosłą córkę panną. Do tego związku agitowali, ale nie cieszył się powodzeniem i bardzo mało ludzi do niego należało. Mówi się głośno o powrocie do kraju, a tym czasem życie płynie w napięciu i oczekiwaniu. Monotonnie, ale z nadzieją na powrót do ojczyzny. Lżej znosić trudy życia.

Mijają tygodnie, miesiące, jest jeszcze jedna gruźna zima, aby dobry Bóg dał, by była ostatnia.

Wiosną 1946 załatwiamy formalności do tzw. opcji, otrzymujemy długo oczekiwaną upragnioną zaświadczenia uprawniające do powrotu do Ojczyzny.

Nareszcie możemy wracać do kraju, tylko przygotować się do podróży.

Powiązac tobołki i czekać na wyjazd. Długo czekaliśmy na podstawienie wagonów, mijają tygodnie, siedzimy na tobołkach, zaczynam wątpić, tyle już razy zawiedliśmy się, już mało ~~xxxxx~~ oczu nie wypatrzyliśmy.

W końcu są podstawione wagony, a jednak są, nie bardzo w to wierzymy, ale już jak usiedliśmy na narach - odetchnęliśmy.

Wagony podstawili towarowe bydlęce, takie same jak nas przywieźli, tylko okna były bez krat i nie byliśmy też pilnowani przez uzbrojonych żołnierzy. Podczepiono nas do składu pociągu, gdyż po drodze na każdej stacji czekali w wagonach polacy. Zbierali do jednego zestawu.

W tym lokomotywa głośno przeraźliwie groźnie zawyła, szarpnęła tak, że niektórzy ludzie poprzewracali się, ale to drobnostka, grunt, że jedziemy.

A jednak, po tylu latach poniewierki, tęsknoty za krajem - nura, hura, śpiewamy - jeszcze Polska nie zginęła, niektórzy płaczą, całują się, przecież jedziemy do Polski. Tylko niestety nie wszyscy, za dużo naszych otuliła obca nieprzyjazna ziemia.

Ochłonęliśmy, wybrany zostałem przez współtowarzyszy kierownikiem wagonu.

V Obowiązkiem kierownika było pilnować porządku, ażeby ktoś się nie zgubił, dbać o zaopatrzenie, przydzieloną na stacjach żywność, wołę, meldować, ~~jak~~ jeśli ktos zachoruje itd. komendantowi pociągu. Jedziemy dzień i noc, często na niektórych stacjach spychano nas na bocznice i staliśmy często

po parę dni. Jak się okazuje, czekamy na pociąg, który jedzie w przeciwnym kierunku, gdyż sieć kolejowa na Sybirze jest jednotorowa. Często spotykaliśmy transporty aresztowanych Polaków, których wieźli na Sybir. Pilnowali ich żołnierze, nie pozwalali nam zbliżyć się do wagonów, ale na odległość udało nam się porozumieć.

Do granicy jechaliśmy kilka tygodni. Przy granicznej miejscowości Medyka, podchodzi do mnie młody chłopak ok. lat 17-18 i prosi ażeby mu pomóc przekroczyć granicę i wrócić do rodziców w Poznaniu. Nawet nie pytałem jak się tam znalazł. Na to nie było czasu, trzeba to było przemyśleć i dokładnie bezbłędnie wykonać, udało się.

Przed przekroczeniem granicy NKWD sprawdzali co wieziemy, ale to tylko dla formalności. Oni dobrze wiedzieli, coż my nędzarze w łachmanach mogliśmy mieć, napewno wszy.

Broniliśmy się jak mogliśmy przed tą nędzą, ale nie mieliśmy bieliźny na zmianę a tą cośmy mieli, to były poszyte własnoręcznie ze zgrzebnych worków.

Miesiącami też nie mieliśmy się gdzie wymyć, nie mówiąc o kąpaniu. Zabierali nam kompromitujące ich dokumenty np. z więzienia.

Po podaniu przez kierownika wagonu stanu osób - policzyli stojąc w drzwiach wagonu.

Pytali o dokumenty i na tym skończyła się odprawa celna. Nie pamiętam jak się ten chłopak nazywał, jak przyjechaliśmy do Poznania, a staliśmy tam kilka godzin, zaprosił mnie do swoich rodziców. Rodzina zamożna, inteligencja. Byłem u tych państwa bardzo krótko, gdyż musiałem dołączyć się do transportu.

I na tym skończyła się nasza przygoda, a szkoda - to były czasy nie sprzyjające takim okolicznościom.

Bardzo chciałbym się z nim spotkać, jednak zdaję sobie sprawę, że jest to marzenie nierealne, może takich przygód się nie zapomina, tym bardziej teraz sprzyjają ku temu warunki.

Po przejechaniu granicy weszli do wagonów nie podobni do polskiego żołnierza w okrągłych czapkach, na których przypięty był jakiś ptak do wrony, a nie do orła podobny. Mówili jednak po polsku, namawiali nas do pracy w milicji, obiecywali mieszkanie i dostatek, byli pewni, że tym zachęcą nas nędzarzy. Z pogardą popatrzyliśmy na nich, wogóle nie chcieliśmy z nimi rozmawiać. Odeszli z obrażoną miną z naszego transportu, nikogo nie udało im się zwerbować.

Wieżli nie pytając nas gdzie chcemy zamieszkać. Za Poznaniem pociąg staje na stacji Krzyż. Pytam komendanta transportu - dokąd nas wieziecie. Pada odpowiedź - wkrótce zobaczysz. Stalinowska metoda, nic dobrowolnie, wszystko na siłę.

Wtem wśród tłumu widzę znajome twarze, po krótkiej rodzinnej naradzie postanowiliśmy - wysiadamy. Dlatego, że samowolnie urwalismy się z transportu, nie otrzymaliśmy żadnej zapomogi, ani też pomocy ze strony państwa.

Za parę dni wrócił z niewoli niemieckiej szwagier, ojciec naszej sybiryaczki Franciszki, miała już 6,5 roku jak ją ochrzczono.

A to dotyczy innej rodziny.

Dziedziców państwa Leona Puzyny z miasta Gwoźdźca. Pan Leon Puzyna brał udział w wojnie obronnej przeciw hitlerowskiemu najeźdźcy.

Po wkroczeniu Sowietów, najeźdźcy zajęli dwór państwa Puzynów, a dziedziczkę z dziećmi małoletnimi, córką - imienia nie pamiętam i synem Stanisławem lat 16-17 - wygonili.

Pozbawili ich dachu nad głową i bez środków do życia.

Przygarnęła ich moja rodzina Jana Siemiatckiego, mieszkali u nas jakiś czas. Ale na dłuższy okres nie dało się ich ukryć, gdyż NKWD często nachodzili nas pod byle pretekstem. Interesowali się każdą osobą. Wyprowadzili się od nas gdzieś w nieznaną, prawdopodobnie do większego miasta. I mieli chyba ~~jakieś~~ szczęście, bo prawdopodobnie ominął ich los taki jak nas spotkał, straszna nędza, tułaczka i Sybir.